



CHERIE DALE

CZĘŚĆ II  
PRZEBUDZENIE  
CÓRKA WIATRU

Cherie Dale

TOM I

# Przebudzenie

**Córka Wiatru**  
Część 2

© Copyright by Cherie Dale & e-bookowo 2019

Projekt okładki: Maja Krzemińska

ISBN e-book 978-83-8166-057-0

ISBN druk 978-83-8166-058-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)



PATRONI MEDIALNI:

KSIĄZKOMANIACY  
RECENZJE

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2019

*Mojej mamie,  
za te wszystkie momenty, kiedy we mnie wierzyłaś.  
To dzięki tobie jestem tym, kim jestem.*

„Grzech krwią czarną duszę plami...  
Bez obrońcy staniem sami -  
któż zlituje się nad nami?”

„Od twego drzewa oderwany liść,  
pędzi duch ludzki i naprzód, i wstecz,  
niby garść kurzu, porwana cyklonem:  
przed nim i za nim płomienisty miecz  
iskrzy się ostrzem czerwonym.”

*fragmenty wiersza „Dies irae” J. Kasłowicza*

# PROLOG

*Ciemne, uśpione dotąd niebo przecięła jaskrawa, upadająca strzała. Nim zniknęła za górzystą linią horyzontu, pojawiła się kolejna. I kolejna. Białe łuny, niczym precyzyjne ostrza, cięły firmament, pozostawiając po sobie jedynie proste, cienkie nici. Na niebie nie było chmur. Tylko one – gwiazdy. Niczym małe, wyrzucone na piaszczysty brzeg perły, stale czuwały, połyskując nad hebanowymi czubkami uśpionych drzew. Księżyc otulał je swym odbitym, srebrzystym blaskiem, wzorem kochającego, zatroskanego o los potomstwa ojca. Nadchodziła pełnia, jego narbrzmiały, gdzieś pokryty plamami starości brzuch pęczniał. Zachłanny księżyc rozpychał się na boki, pochłaniając coraz to większe skrawki czarnego nieba, aby już niebawem zaprezentować się światu w pełnej okazałości. Niecierpliwił się. Pragnął znów królować na mrocznym obrazie nocy, by stale oglądano jego idealnie okrągłą, zimną taflę z równą intensywnością, z którą przyglądano się spadającym gwiazdom. By odbijał się w paciorkowatych oczach przelatujących nad wioskami kruków tak jak dotychczas jego biel pokrywała mroźne, górskie jeziora. By znów jako jedyny przemykał między gałęziami drzew, wyglądając pomiędzy nich na śpiących, zmęczonych podróżą wędrowców.*

*Choć na ziemi panowała cisza, na niebie trwał nieodgadniony, lecz zapierający dech w piersi spektakl. Struchlałe, zagu-*

*bione w swych myślach zwierzęta ukrywały się w kryjówkach, a nieposłuszne dzieci, zamiast od dawna leżeć na piernatach i grzać się pod kłującymi od wystających zewsząd piór pierzynami, w milczeniu wychylały głowy z domostw, z zachwytem chłonąc szczypiący chłód nocy. Póki zaalarmowane zimnem matki nie zaciągnęły ich z powrotem do wnętrza chat, z upojeniem przyglądały się kolejno umierającym, odrywającym się od czarnego tła gwiazdom. Te, ciągnąc za sobą srebrne warkocze, cichutko zeskakiwały z nieba. Mówiło się czasem, że robiły to, gdyż zazdrościły ludziom ich beztroski, wolnej woli. Upadając na ziemię, zamieniały się w połyskujące, tańczące w blasku księżycyca leśne nimfy. We włosy wplatały gwiazdny pył swych pobratymców, ich delikatne niczym jedwab sukienki pochodziły z tkaninych przez deszcz chmur. Przepasywały je ostatnimi, ulotnymi promieniami zachodzącego słońca, które niekiedy, dla zabawy, chwyciły do podniebnych, kryształowych karafek. Ot tak, by od czasu do czasu rozpraszać nieprzenikniony mrok. Rozświetlać spokojną, ale boleśnie jednostajną ciemność.*

*I choć dla jednych noc spadających gwiazd zwiastowała nadzieję dobrobytu i nadstawiali uszu, pewni, iż w milczeniu nocy, wśród odległego wycia wilków, dosłyszczą śpiew leśnych nimf, dla innych ta sama noc była zapowiedzią cierpienia. Żaloby. Pustki, którą pozostawiały po sobie upadające gwiazdy, gdy nie miały już dość sił, aby nadal trwać wśród towarzyszek. Umierały, a ich ulatujące dusze przecinały sklepienie w postaci białych, zaostrzonych pręg, po czym zamieniały się w efemeryczną mgłę. Opadały na ziemię, lecz nie w postaci nimf, a jako skruszony, muskany wiatrem pył. Trwały wtedy jeszcze przez chwilę w tej postaci, osadzając się dyskretnie na zwiniętych płatkach kwiatów, wąsikach węszących lisów, czy igiełkach śpiących, skulonych jeży. Potem znikwały. Zapominano o nich tak, jak zapominano o umarłych.*

*One również zapominały... O opasłym księżycu, o migoczących gwiazdach, o ludziach... Zapominały o świecie.*

*Gwiazdy, które upadły, nie mogły prowadzić dłużej żadnego z trzech, zagubionych serc.*

*I tak, jak nocne, grafitowe niebo pokrywało się ulatującymi, ustępującymi miejsca nowym siostrzym gwiazdami, a te zwiastowały nadejście lodowego bezkresu, tak jedno upadające, łamiące się serce, doprowadziło do opustoszenia całego, perłowego nieboskłonu.*



# ROZDZIAŁ 1

– Nie! – Mój własny, żaloszny krzyk wyrwał mnie ze snu.

Poderwałam się gwałtownie z łóżka, wciąż mając przed oczami obrazy z koszmaru. Choć nikt mnie nie trzymał, zaczęłam wierzgać nogami, a to z kolei skończyło się zaplątaniem w pościel i zleceniem z łóżka. Nie myślałam o tym jednak, bo skupiałam się na opanowaniu paniki i złapaniu oddechu. Łapczywe chwytanie powietrza nie pomagało, a skrępowane kończyny jeszcze bardziej mnie przerażały. Dochodziły do tego wszystkiego jeszcze egipskie ciemności, a także groźny szum wiatru za oknem.

*Uspokój się! Uspokój!*

To był tylko sen.

– Przepowiadanie przyszłości, psiakrew! – wydyszałam, rozkładając się płasko na ziemi. Moja piżama była lepka od potu, a ręce nie przestawały drżeć. Przyłożyłam jedną z nich do serca i wsłuchując się w jego szaleńcze dudnienie, zamknęłam oczy.

Po paru minutach leżenia na wznak, spłoszone serce w końcu się uspokoiło i wróciła mi jasność myślenia. Powtarzałam sobie w duchu jak mantrę, że znajdowałam się we własnym, bezpiecznym pokoju, a co za tym idzie, nic mi nie groziło. Otaczały mnie te same jasne ściany, ta sama satynowa, ślizgająca się pod palcami pościel i ta sama, poniekąd wciąż wypełniona tylko do połowy, szafa na ubrania. Po lewej stronie pokoju stało to samo szerokie biurko, na którym leżały pozostawione na nim przeze mnie poprzedniego wie-

czoru książki, a także wciśnięta pod ścianę – czekająca aż użyję jej po raz pierwszy – drewniana podstawka, w której, w wydrążonych dziurach, znajdowały się trzy próbówki. Warto byłoby w końcu rozważyć, czy nie sprezentować jej któregoś dnia Misurie. Podejrzywałam, że mnie raczej i tak by się nie przydała. Odkąd trafiłam do Cennerowe'a, mieszczącej się w ukrytym wymiarze szkoły dla zbuntowanych magów i wampirów, zdecydowanie stroniłam od samodzielnego praktykowania magii. Podejrzywałam, że prędzej, czy później podstawka pokryje się kurzem. Moja zielonowłosa, aspirująca na Nersai przyjaciółka, z pewnością znalazłaby dla próbówek lepsze zastosowanie niż trzymanie ich w formie niewygodnej, zajmującej sporą część biurka dekoracji.

Podniosłam się z trudem z podłogi i nawet nie siląc się na włączenie światła, po omacku dotarłam do łazienki. Tam zmieniłam lepiące się od potu ubrania na ciepły, wełniany sweter w parze z legginsami. Nie było sensu ubierać kolejnej piżamy, ponieważ i tak wiedziałam, że z powrotem nie zasnę. Przed oczami wciąż pojawiała mi się zdeformowana twarz Vanessy, młodziutkiej wieszczki, której enigmatyczna, stonkowo mroczna przepowiednia chodziła za mną od wieczora. Nie tylko ona zresztą. Prześladowało mnie również nieobecne, trupie spojrzenie nastolatki. Gdyby nie ono, a także fakt, że dziewczyna zdawała się wiedzieć, o czym mówi (a przynajmniej w momencie, kiedy była w transie), prawdę mówiąc, nie przejęłabym się zbyt wiele słyszającymi kilka godzin wcześniej słowami. Była jednak jeszcze finalna, nic nie tłumacząca mi rozmowa z Willem, mrukliwym chłopakiem Dafne. Mag dodatkowo wszystko skomplikował.

W pokoju było duszno, więc postanowiłam otworzyć jedno z dwóch okien i go przewietrzyć. Uważając, żeby o nic

się nie potknąć, podeszłam do okna i odsłoniłam jasną zasłonkę, aby następnie otworzyć je praktycznie na oścież. Świeże, nocne powietrze natychmiast otuliło moją wilgotną twarz. Wdarło się do środka pomieszczenia, mieszając się z ciężką do wytrzymania, wysoką temperaturą.

Zadrżałam pod wpływem nagłej zmiany, ale się nie cofnęłam. Chłonąc zimno, wychyliłam się, aby następnie spojrzeć w dół, na plac. Gdyby nie blask księżyca, teren wokół szkoły byłby pogrążony w kompletnych ciemnościach. Dzięki migającym w tylko sobie znanym rytmie gwiazdom, mogłam zobaczyć szare, kamienne schody prowadzące do głównego wejścia, a także pobliski las; ciągnące się na horyzoncie ciemne pasmo rozmytych kształtów, które układały się w czarne, pełne wydrążonych dziur pnie i sięgały nieba w postaci powykręcanych, pajęczych gałęzi. Na skraju tego morza drzew dostrzegłam kilka poruszających się z dużą szybkością osób. Migwały mi przed oczami, aby zaraz zniknąć wśród gęstwiny i jakby za sprawą teleportacji pojawić się w zupełnie innym miejscu. Wampiry odbywały akurat swój nocny trening.

Careai... Albo po prostu nocni... gdzieś tam, wśród nich musiał być również Zander Licavoli, dziewiętnastoletni opiekun, z którym ostatnimi czasy moje relacje stały się o wiele bardziej zażyłe, niż powinny. Do tego stopnia, że nim się obejrzeliśmy, przekroczyliśmy niewidoczną granicę „opiekun-podopieczna” i z dnia na dzień skończyliśmy w czymś, czego sami nie potrafiliśmy jeszcze do końca zidentyfikować ani zamknąć w żadne określone ramy. Najbliżej byłoby temu chyba do ukrytego związku, ale nie miałam co do tego stuprocentowej pewności. Wołałam jednak nie dopytywać, aby nie wprowadzać niezręcznej atmosfery i przypadkiem nie zepsuć czegoś między mną a dziewiętnastolatkiem.

Oparłam łokcie o parapet i zaczęłam szukać wampira wzrokiem. Nieważne, jak wytężałam jednak wzrok, nie udało mi się go wypatrzyć ani w pobliżu wspomnianego wcześniej lasu, ani w okolicy sali sportowej. Gdy już miałam założyć, że pewnie przebywał w szkole i nie powinnam tak od razu złudnie zakładać, że zawsze, gdy będę tego pragnęła, ujrzę na horyzoncie jego sylwetkę, w zasięgu mojego wzroku pojawiła się nowa osoba. Ktoś wyszedł właśnie z budynku i stanął na schodach.

Zamrugałam. Chyba powinnam zacząć wierzyć w nieprawdopodobne zbiegi okoliczności.

Chłopak zszedł jeszcze dwa stopnie i zatrzymał się, by się przeciągnąć. Wyglądał tak jak zwykle, czyli wyjątkowo koryzystnie, co po raz któryś z kolei kazało mi się zastanawiać nad tym, czemu równie przystojny, elokwentny chłopak zainteresował się kimś takim jak ja. Miał na sobie ciemną, wtapiającą się w otoczenie bluzę, założył również na głowę kaptur, który obecnie przysłaniał jego rysy twarzy i ukrywał przydługie kosmyki włosów. Mimo to od razu wiedziałam, że to właśnie Zander. Jego płynnych, ale wyważonych ruchów nie dało się pomylić z nikim innym.

Nastolatek chyba wyczuł, że ktoś go obserwował, bo zarzął głowę, natychmiast bezbłędnie kierując wzrok prosto na moje okno. Jakżeby inaczej.

– Dobry wieczór – przywitałam się, posyłając mu ostrożny, lekko zakłopotany uśmiech. Ciekawe, czy w mroku dostrzegął moje zaróżowione policzki. Miałam nadzieję, że nie, bo te szybko pozwoliłyby mu się domyślić, że go wypatrzywałam. Zdradzieckie, nastoletnie hormony!

Ciemnowłosy odwzajemnił uśmiech, aczkolwiek równocześnie z nim, zmarszczył podejrzliwie brwi.

– Raczej dzień dobry. – Podwinął rękaw i upewniwszy się, co do godziny, postukał znacząco palcem w tarczę zegarka. – Jest czwarta rano. Czemu nie śpisz?

Zdziwiona spojrzałam w górę, na górujące na czarnym niebie gwiazdy i odznaczający się na ich tle, wyraźny sierp księżycy. Czwarta? Myślałam, że było coś koło północy. Słońce wciąż kryło się głęboko poniżej horyzontu.

– No więc? – powoli pytanie Zander.

– Miałam zły sen – wyznałam zamyślona, znów kierując swój wzrok w dół, na schody. Podrapałam się po ramieniu, świadoma, że nie było sensu zatajać prawdy, skoro i tak nastolatek mógł ją ze mnie wyczytać, niczym z otwartej książki. – Chciałam się nieco przewietrzyć.

– Rozumiem, ale nie zmienia to faktu, że jest dosyć zimno. Przeziębisz się.

Wychwytując w jego głosie autentyczną troskę, stłumiłam mimowolnie rosnący uśmiech. Choć w pierwszym odruchu miałam wielką ochotę, by przewrócić oczami, a zaraz potem przypomnieć, że nie mam pięciu lat, a tym samym umiem o sobie zadbać, przyjemnie było wiedzieć, że zyskałam kogoś, kto aż tak się o mnie zamartwiał. Zabawne. Nigdy nie sądziłam, że trafię w swoim życiu na osobę, której poziom opiekuńczości będzie mnie w równym stopniu irytować, co zachwycać. Tak się składa, że Zander był akurat w tej dziedzinie pionierem i jeśli chodziło o chorobliwą przezorność, nie miał w niej sobie równych. W tym wypadku również dało się zauważyć, że już szykował się do zadania kolejnego pytania – zapewne o szczegóły koszmaru, który mi się przyśnił. Aby odwrócić więc jego uwagę i uniknąć tłumaczeń związanych z Vanessą, Willem czy podejrzaną, zapewne i tak podkoloryzowaną przepowiednią, postanowiłam się z nim

podoczyć. Wychyliłam się przez okno jeszcze bardziej, dla lepszego efektu stając na palcach. Rzeczywiście było chłodno, ale nie na tyle, abym się wycofała i pozbawiła szansy zobaczenia jego karcącego spojrzenia.

– Americo, nie denerwuj mnie. – Zander oparł dłoń na biodrze.

– No co? – Zaśmiałam się cicho, zdejmując w twarzy kosmyk blond włosów, który znalazł się na niej za sprawą nagłego porywu wiatru. Zdążyłam się już nauczyć, że w momentach, kiedy nocny posługiwał się moim pełnym imieniem, a nie zdrobnieniem, zaczynał wpadać w poważny ton. Przynajmniej osiągnęłam sukces, bo nie padło żadne pytanie o sny. – Nie można się już z tobą nawet podrażnić?

– Zaraz wypadniesz – powiedział z autentycznym niepokojem, zdejmując kaptur. Jego oczy błysnęły w ciemności. – To dosyć spora wysokość.

Pochyliłam głowę jeszcze bardziej i spojrzałam centralnie w dół, szacując, ile bym spadała, gdybym przypadkiem puściła się parapeetu. Do parteru miałam dobre kilkadziesiąt metrów, przy czym, biorąc pod uwagę, że moje okno wychodziło na dziedziniec i znajdowało się nieopodal głównego wejścia, finalnie czekałoby mnie albo wylądowanie twarzą na twardym, pokrytym równo przystrzyżoną warstwą trawy gruncie, albo przykra sposobność trafienia na zimne, kamienne stopnie schodów. W obu przypadkach uderzenie nie skończyłoby się dobrze. Byłoby bolesne albo nawet śmiertelne. Oczywiście Licavoli próbowaliby mnie złapać, ale gdyby mu się to nie udało...

Wzdrygnęłam się. Dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy?

– Cześć, cukiereczku. – Nagle obok Zandera znikąd pojawił się Vincent. – Planujesz samobójstwo?

Dopiero wtedy o mało co nie wypadłam przez okno. Przybycie nocnego tak mnie zaskoczyło, że jedna z rąk omsknęła mi się z parapetu i w przyływie paniki, rzuciłam się do tyłu. Poleciałam w dół, nieomal lądując na brzegu okna brodą. Ostatecznie udało mi się utrzymać równowagę, ale i tak dosłyszałam nieprzyjemne syknięcie Zandera, z którego perspektywy całe zajście musiało wyglądać, jakbym miała zaraz zrobić salto w powietrzu. Ekspresowo podniosłam się do poprzedniej pozycji i posłałam Vincentowi strofujące spojrzenie. Oczywiście, jak na typowego nocnego przystało, poruszał się niczym kot, bezszelestnie. Ani nie zobaczyłam, jak się zbliżał, ani tym bardziej go nie słyszałam.

– Vin? – Stałam prosto, przykładając dłoń do dudniącego serca. Powinnam przywołać się do porządku, aby wampir nie odkrył moich uczuć względem opiekuna (liczyłam, że nie widział nic podejrzanego w moich przekomarzankach z nim), ale chwilowo skoncentrowałam się na uspokajaniu oddechu. – Cholera! Ostrzegaj, że idziesz, bo zawału można dostać. Nie wiem, gwizdź, czy coś.

Chłopak wzruszył tylko ramionami, sygnalizując, że nic nie może poradzić na swój wampirzy instynkt. Był ubrany podobnie jak Zander, a choć prezentował się w sportowym stroju równie korzystnie, co dziewiętnastolatek, nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że moje uczucia do opiekuna zaślepiają mnie na tyle, że i tak go faworyzuję. Owszem, z Vincentem, wampirem, którego poznałam jakiś czas temu w dość nieprzyjemnych okolicznościach, również łączyła mnie silna, aczkolwiek... nietypowa relacja. Mimo iż on był nocnym, a ja czarownicą i nie dzieliliśmy chyba żadnych wspólnych zainteresowań prócz wzajemnego dogryzania sobie na każdym możliwym kroku, zdołaliśmy się dogadać. Zawarliśmy so-

jusz, który następnie przerodził się w swego rodzaju między-rasową przyjaźń.

Jak widać czasami początkowa nienawiść jednoczyła skuteczniej niż sympatia.

– Co ty tu właściwie robisz, Vin? – zapytałam, kiedy już nieco się uspokoiliam.

Specjalnie po raz drugi zwróciłam się do niego zdrobniale. Jakiś czas temu uznałam, że będzie to moja malutka zemsta za to, iż nastolatek nie lubił używać mojego imienia i uparcie wciąż tworzył dla mnie nowe, w jego mniemaniu „słodkie” przezwiska. Jak dotąd, niespecjalnie przejmował się tym, że usiłowałam mu się odpłacić pięknym za nadobne i puszczał moje zdrobnienia mimo uszu. Nie zamierzałam się jednak poddać, toteż z tym większym zadowoleniem zacierałam ręce na planowane spotkanie z jego kuzynką, Veronicą. Długowłosa wampirzyca obiecała mi zdradzić na temat ciemnowłosego wszystkie najciekawsze plotki. Rzecz jasna, im bardziej krępujące, tym lepiej.

– Mam trening, różowa owieczko – odparł z błędzącym na ustach uśmiechem, wkładając ręce do kieszeni. – A ty? Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Skaczesz czy nie?

Zander przekrzywił nieznacznie głowę, unosząc brwi. No tak. Nie wiedział, jak Vincent mnie nazywał.

– O nie. Nie zrobię ci tej przyjemności. – Wyszczrzyłam zęby, maskując tym samym lekkie podenerwowanie. Wyjątkowo wolałabym, aby nocny znalazł sobie inne zajęcie, niż rozmowa ze mną w obecności Licavoliego. Gdyby Vincent przypadkiem czegoś się domyślił...

– W takim razie, może następnym razem. – Nastolatek otarł czoło wierzchem dłoni. Podobnie jak brązowe, aktualnie zaczesane do tyłu włosy, skóra na jego bladej twarzy



perliła się od potu. – Teraz muszę iść wziąć długi, relaksujący prysznic, bo twój wspaniały obrońca, Licavoli, przegonił nas wzdłuż i wszerz po całym lesie. Swoją drogą, jeśli już mówimy o prysznicu, może do mnie dołączysz, cukiereczku? I tak już przecież nie śpisz.

– Skoro tak, może ty zrobisz w takim razie jeszcze rundkę wokół szkoły. – Zander skrzyżował ręce na piersi. Chociaż, w przeciwieństwie do mnie, o wiele lepiej maskował uczucia, jemu również ewidentnie zaczynała przeszkadzać obecność wścibskiego podopiecznego. Mogłabym się zresztą założyć, że dziesiętnastolatek nadal rozpamiętywał to, co tamten zrobił mi w skrzydle wampirów. – I tak już przecież jesteś spocony. Nadal masz też jak widać siłę marudzić, więc...

– Chyba śnisz – prychnął natychmiast Vincent, energicznie kręcąc głową. – Zaraz wschód słońca. Wracam do szkoły. Przyszedłem tylko zobaczyć, czy cu... Dusney, zamierza wyskoczyć przez okno. Nieczęsto ma się sposobność oglądania takich widoków.

– Cholernie byś tęsknił – odezwał się z rozbawieniem.

– Chciałabyś. Nie ma wspólnego prysznic, nie ma współczucia. – Skierował się do szkoły. Zanim jednak zniknął wewnątrz budynku, wychylił głowę i dodał: – Jak zmienisz zdanie i postanowisz skakać, to wiecie, gdzie mnie znaleźć. Niech mnie ktoś zawoła. Chętnie się przekonam, czy owieczki potrafią latać.

Pokazałam mu język. Chłopak zaśmiał się i jak gdyby nigdy nic, wszedł do szkoły. Wychyliłam się jeszcze, aby sprawdzić, czy na pewno zniknął w budynku, a nie czekał gdzieś przy ścianie, aby podsłuchiwać dalszą część rozmowy. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było.

Zander chrząknął.

- „Cukiereczek”? Naprawdę?
- Nie czepiaj się. – Przewróciłam oczami, wracając myślami do dziewiętnastolatka. – Nie raz upominałam go, żeby mnie tak nie nazywał.
- A ja mogę?
- Tylko spróbuj! Już i tak muszę znosić Vincenta. Jeden wampir zwracający się do mnie per „różowa owieczko” zdecydowanie wystarczy.
- Nastolatek przejechał palcem po ustach, jakby się nad czymś zastanawiał.
- Nawet nie waż się myśleć nad innym przezwiskiem. – Z oburzenia aż otworzyłam usta. – Słyszysz, Zander?! Nie zgadzam się.
- Na twarzy chłopaka pojawił się szelmowski uśmiech.
- Potem się zastanowię, co zrobić z faktem, że ktoś, oprócz mnie, mówi do ciebie tak czule. – Pogroził mi z rozbawieniem palcem. – Na razie zamknij okno i idź spać. Jutro masz zajęcia. Właściwie to już dzisiaj.
- Czyżbyś był zazdrosny? – Uśmiechnęłam się swobodnie, ale wewnątrz cała zaczęłam się trząść z powodu treści jego wypowiedzi. Nie mówiąc już o moim sercu, które biło w tempie serii z karabinu.
- Bynajmniej. Po prostu nie podoba mi się, że Vincent cię tak nazywa – odparł Zander spokojnie.
- Mówił tak od samego początku.
- Więc czas to zmienić. – Skrzyżował ręce na piersi. – Zresztą, pomówimy o tym przy następnej okazji. Cały czas mnie zagadujesz. Wracaj do łóżka i... może dla pewności zarygluj drzwi, jakby ktoś przypadkiem liczył jednak na ten prysznic.
- Jesteś niemożliwy. – Położyłam ręce na kłamce i ciężko

westchnęłam. Spotkanie się z chłopakiem, który miał opiekuńczy charakter, nie było wcale takie proste. Nawet jeśli zdarzało mu się żartować, jak właśnie w tej chwili. – Mówiłam ci już, że czasami zachowujesz się aż nazbyt dojrzałe?

– Kilka razy – przyznał, po czym spojrział w zamyśleniu w czarne, upstrzone gwiazdami niebo.

\* \* \*

Atmosfera przy śniadaniu nie można było nazwać pozytywną. Shirley, ciemnoskóra miłośniczka samoobrony, wyglądała jak siedem nieszczęść i ciągle marudziła, że wokół było za głośno. Dafne, białowłosa przyjaciółka Misurie, w milczeniu bawiła się widelcem, a jej brat, Aach, z fryzurą rodem z filmów o szalonych naukowcach, przysypiał na siedząco. Jedynie Misurie ciągle się odzywała. Skoncentrowała się wokół mojej osoby. Nie przestawała prawić mi wyrzutów za to, że poprzedniego wieczora zostawiłam ją samą na przyjęciu.

– Przecież zanim przyszłam też byłaś sama. – Odchyliłam głowę i zaczęłam bujać się na krześle. Nawet mnie nie udało się zachować dobrego humoru. Przepowiednia Vanessy ciągnęła się za mną jak cień, choć z minuty na minutę coraz mniej w nią wierzyłam i traktowałam bardziej jak zlepek przypadkowych słów, aniżeli prawdziwą groźbę. Wspomnienie nocnej, a raczej porannej, rozmowy z Zanderem również poprawiło mi trochę nastrój, ale nie na długo. Po tym, jak z powrotem się położyłam, zasnęłam w ciągu paru minut. Niestety, od razu znowu się obudziłam, tym razem z silnym przeświadczeniem, że coś straciłam. Najwyraźniej moja podświadomość nie chciała zignorować mrocznej wizji przyszłości.

– Ale potem przyszedłaś – fuknęła obrażona Misurie. – Zostawiłam cię tylko na kilka minut! Jakim cudem wymknęłaś się niezauważona?

Mimowolnie pomyślałam o Willu, który tego dnia nie pojawił się w stołówce. Jak najbardziej mi to pasowało, więc nawet nie siłałam się, by pytać Dafne, gdzie właściwie podział się jej zaborczy chłopak.

– Po prostu wyszłam. – Wzruszyłam ramionami. – Wszyscy byli pijani, więc i tak nie było po co zostawać.

– Ja nie byłam pijana – mruknęła dziewczyna.

– Wiem, przepraszam. – Objęłam ją i mocno przytuliłam. Miałam na końcu języka uwagę, że sama przygotowała dla większości gości wysokoprocentowe trunki, aby zarabiać na sprzedawaniu im później zbawiennych magicznych odtrutek. – Powinnam ci powiedzieć, że wychodzę, ale wiedziałam, że będziesz próbowała mnie zatrzymać.

– I zamiast tego uznałaś, że najlepszą osobą do przekazania mi tej wiadomości będzie Will – prychnęła, odchylając głowę i próbując wyplątać się z mojego uścisku. – Jak ja nawet nie wiedziałam, że on był zaproszony.

Dafne zacisnęła palce na widelcu. Zastanawiałam się, czy w ogóle doszły ją słuchy o jakimkolwiek przyjęciu, jak również o tym, że nastolatek się na nim pojawił. Musiały, bo przecież dobrze znały się z Shirley.

Dlaczego więc sama nie przyszła?

– Spotkałam go przy wyjściu. – Puściłam Misurie, która, mimo swojej naburmuszonej miny, ewidentnie powoli dawała się udobruchać. Chwyciłam szklankę i duszkiem wypiliśmy sok, który przyniosłam z bufetu. – Poproszenie o pomoc było prostsze niż szukanie cię pomiędzy tyloma osobami.